

My, mieszczuchy

Skąd się wziął pomysł na Kongres Ruchów Miejskich?

Pomysł wyszedł z naszej obserwacji. Jakiś czas temu ludzie, którzy działają w Poznaniu, w organizacji My-Poznaniacy zorientowali się, że nie są sami. Paradoksalnie, najpierw zorientowaliśmy się, że nie jesteśmy sami na świecie. Bo okazało się, że w Stanach jest taka ogólnokrajowa koalicja Prawo do miasta, z której nowojorską komórką mamy kontakt. Był też taki moment, kiedy w Polsce w 2009 roku zaczęły się pojawiać referenda w sprawie odwołania urzędujących prezydentów – w Łodzi i Częstochowie, Gliwicach. Wtedy zorientowaliśmy się, że nie tylko w Poznaniu obywatele zaczynają się organizować. Trochę czasu od tego momentu minęło, w wielu miejscach różne rzeczy się wydarzyły, jak ostatnie wybory samorządowe, w których My-Poznaniacy dostali ponad 9 procent głosów. W Sopocie obecnie, komitet Kocham Sopot jest już w Radzie Miasta, więc im się udało pójść jeszcze o krok dalej. A jakiś czas temu przeprowadzili projekt budżetu obywatelskiego w Sopocie. Jednocześnie od tego momentu, pojawiło się w różnych miejscach wiele innych miejskich inicjatyw. Kongres ma być pretekstem, żeby się spotkać i zobaczyć czy mamy coś wspólnego i czy możemy coś zrobić razem. W szczególności, że od jakiegoś czasu ileś ogólnopolskich inicjatyw już zaczęła działać.

O CZERWCOWYM KONGRESIE RUCHÓW MIEJSKICH, CZYLI TYCH WSZYSTKICH INICJATYWACH, KTÓRE REPREZENTUJĄ INTERESY I POTRZEBY MIESZKAŃCÓW MIAST ORAZ O PRZYSZŁOŚCI MIAST W KONTEKŚCIE KRYZYSU EKONOMICZNEGO, Z KACPREM POBŁOCKIM, REPREZENTANTEM STOWARZYSZENIA MY-POZNANIACY, SKUTECZNEGO W WALCE O UDZIAŁ W DEBACIE PUBLICZNEJ, ROZMAWIA JOANNA ERBEL

Jakich?

Jedną z pierwszych była próba w 2009 r. przekonania posłów, senatorów, a na końcu prezydenta Lecha Kaczyńskiego, żeby zawetować ustawę komisji Pali-kota, która miała między innymi znieść pozwolenia na budowę. To się udało. Była to inicjatywa Jolanty Piecuch z organizacji Sąsiedzkie Włochy. Z kolei Marcin Gerwin z Sopotu były inicjatorem innej ogólnopolskiej inicjatywy w tym roku, która miała na celu dyskusję nad ordynacją wyborczą i przekonanie prezydenta, że proponowany mu system jednomandatowych okręgów wyborczych jest szkodliwy, bo paradoksalnie uzależnia samorządy jeszcze bardziej od partii politycznych – co ostatecznie się udało. Sporo inicjatyw, zaczęło się pojawiać i chcemy to trochę usystematyzować. Choćby dlatego, że teraz nadchodzą wybory parlamentarne i jest to dobry moment, żeby te kwestie miejskie wyartykułować. Oraz połączyć działania lokalne z działaniami ogólnomiejskimi na terenie całego kraju. W szczególności, że w takich właśnie krajach jak Stany Zjednoczone to dobrze działa. Ruch Prawo do miasta ma taką ogólnokrajową platformę ze stroną internetową, na której różne osoby i organizacje dzielą się swoimi doświadczeniami w rozmaitych obszarach tematycznych. A jednocześnie działają lokalnie. Ta synergia bardzo dobrze działa.

A w jaki sposób działa ta platforma? Kto nią zarządza?

To jest jak taki wielki parasol. Głównym obszarem działania zawsze są miasta, a sama platforma ogólnonarodowa pomaga raczej wszystkim działać lokalnie, chodzi o to by nie stała się takim wielkim zbiurokratyzowanym molochem, który zarządza wszystkimi działaniami w obrębie kraju. Dodatkowo, w tych konkretnych miastach są jeszcze koalicje innych organizacji. Bardzo często – co jest pewnie specyfiką Stanów – są one etnicznie zorganizowane. Są organizacje azjatyckie, hinduskie i inne.

A jak to się zaczęło?

W Stanach, zaczęło się od Social Forum w 2007 r. czyli forum organizacji pozarządowych i obywatelskich. W pewnym momencie ludzie z różnych miast się zorientowali, że tym, co ich łączy, jest właśnie ten profil miejski. Dodatkowo jeszcze ta komórka nowojorska jest silnie związana z takim centrum, Center for Place, Culture and Politics, którego szefem jest w tej chwili David Harvey, i on, razem z Peterem Marcuse z Columbia University, są takimi intelektualnymi frontmenami tego ruchu. W takim intelektualnym sensie to ta komórka nowojorska jest najważniejsza.

A jakie działania ta platforma podejmuje?

Gdy wszedł pakiet stymulacyjny Obamy, przygotowali całościowy program, który pokazywał jak sensowniej wydać te pieniądze, aby nie tylko łagodzić skutki kryzysu, ale też i zacząć zapobiegać przyczynom. Zaangażowali się też w sprawy forklozji – zajmowania zadłużonych nieruchomości przez banki i wyrzucania całych rodzin na bruk. W Nowym Jorku na przykład policzyli pustostany, w Miami pomagają rodzinom wrócić do domów, z których zostały wyeksmitowane – co ciekawe tutaj lokalna społeczność również za tym się opowiada. Jednak pod wieloma względami im jest trudniej niż nam, bo o ile

my jeszcze prowadzimy jakiś tam dialog z władzą, czy uczestniczymy w debacie publicznej, tak im jest im o wiele trudniej przebić się poza swój krąg, więc oni też patrzą z nadzieją na kraje, głównie w Ameryce Łacińskiej, ale też i na to, co się dzieje w Polsce, gdzie takie ruchy już dawno przeszły do mainstreamu.

A w Polsce to już nie pierwszy raz kiedy pojawia się potrzeba stworzenia takiej platformy. Kilka lat temu powstała na przykład, również ogólnokrajowa, Wspólna Przestrzeń.

Tak. O ile wiem odbyły się dwa spotkania, potem, z tego co mi mówiono, ja-koś to przycichło. Nasz Kongres ma być swoistą kontynuacją takich działań. To właśnie jeden z liderów Wspólnej Przestrzeni, Przemek Filar, na spotkaniu poznańsko-wrocławskim w lutym tego roku zaproponował, żeby zrobić kolejne ogólnopolski zjazd w Poznaniu. Zarówno ze względów geograficznych – do Poznania w innych miast jest bliżej niż do Wrocławia, jak i politycznych – bo odbieramy sygnały że dla wielu droga, jaką odbyło stowarzyszenie My -Poznaniacy, łącznie z aktywnym udziałem w wyborach, stanowi jakąś tam inspirację.

Czy nie obawiacie się, że Kongres zakończy się tak szybko jak działania wokół Wspólnej Przestrzeni?

Nie. Teraz jesteśmy w zupełnie innej sytuacji. Ruchy miejskie są znacznie silniejsze niż dwa lata temu, kiedy odbyło się ostatnie spotkanie Wspólnej Przestrzeni. W ruchy miejskie zaczynają wychodzić poza taki światek elitarystyczno-ngosowy. Stały się podmiotami w debacie publicznej.

Kogo zaprosiliście na Kongres Ruchów Miejskich? Dla kogo Kongres jest przeznaczony?

Chcielibyśmy na Kongresie widzieć każdą osobę, która działa w jakiejś lokalnej organizacji zajmującej się sprawami miasta. Natomiast to nie musi być wyłącznie kwestia polityki przestrzennej, w sensie zagospodarowania przestrzenno-go. To mogą być kwestie ekologiczne, nawet estetyczne. Kongres ma dość otwartą formułę. My też do końca nie wiemy, co się wydarzy, ale o to też między innymi chodzi, żeby zobaczyć w kim można w tym kraju współpracować, i wokół jakich tematów. Poza uczestnikami organizacji będą też obserwatorzy. Zaprosimy media, urzędnicy też są mile widziani. Ale to będzie Kongres Ruchów Miejskich, czyli nie władzy, nie mediów, ale osób, które starają się w inny sposób reprezentować mieszkańców.

Zwykle kongresy – jak Kongres Kobiet czy Kongres Kultury Polskiej, kończą się sformulowaniem listy postulatów i wybraniem najważniejszego z nich, wó-kół, którego koncentrować się będą dalsze działania. Czy myśleliście już na ja-kich tematach chcecie się skupić?

Zacniemy od sporządzenia takiej ogólnej diagnozy problemów miejskich do rozwiązania. Chcemy, żeby ostatecznym owocem tej współpracy był szereg ustaw – o planowaniu przestrzennym, rewitalizacji, czy aglomeracyjna. Oczywiście na Kongresie praca nad nimi dopiero się zaczyna. Przeważymy kilka naszych propozycji, ale formuła jest generalnie otwarta, na pewno pojawia się

jakieś nowe wątki. Oczywiście będzie konferencja prasowa i może uda się też wypracować wspólne stanowisko w sprawie nadchodzących wyborów parlamentarnych.

Opowiadając o amerykańskim ruchu prawa do miasta, wspomniałeś o ważnej roli jaką odgrywali David Harvey i Peter Marcuse. Jak widzicie rolę intelektualistów i intelektualistek w przypadku waszego Kongresu i dalszych działań ruchu miejskiego? Czy Kongres ma już swoich intelektualnych mentorów czy mentorki?

Tworzenie intelektualnego zaplecza jest istotne, ale musi ono być połączone również z działaniem w konkretnych sprawach lokalnych. Dla mnie bardzo ważne jest to, żeby nie tylko tworzyć wiedzę o mieście w ogóle, ale żeby te ruchy były zakorzenione w przestrzeni miasta i grupach społecznych tam przebywających. To jest sprawa najważniejsza. I to jest fenomen ruchu poznańskiego: wyrósł z iluś tam konfliktów przestrzennych. Nagle okazało się, że ludzie, którzy teoretycznie mają niewiele wspólnego, np. mają inne tzw. poglądy polityczne, odnajdują wspólny język na płaszczyźnie przestrzennej. Materiałna konkretna tkanka miasta to jest najlepszy sposób nawiązywania nowych sojuszy – osób, które w innym wypadku by się nie spotkały i nie miały okazji razem coś zrobić. Na to nakładają się sprawy tematyczne, takie jak transport, mieszkalnictwo, które przecinają podziały terytorialne i wymuszają działanie w większej skali: ogólnomiejskiej czy ogólnopolskiej. I teraz nadszedł czas działań szerszych, ale nie powinniśmy zapominać o zakorzenieniu w przestrzeni.

Czy w ten sposób widzisz też swoją rolę w My-Poznaniacy?

Ja pełnię rolę takiego łącznika pomiędzy środowiskami. Zacząłem działać w My-Poznaniacy kiedy wróciłem ze Stanów i okazało się, że mogę coś do tego ruchu wnieść. Wiedziałem o Stowarzyszeniu wcześniej, byłem na kilku z pierwszych demonstracji, ale członkiem Stowarzyszenia zostałem, kiedy zdałem sobie sprawę, że mogę pomóc ruchowi wyjść na szerszą skalę.

Mówiłeś, że wiele się zmieniło przez ostatnie kilka lat. Powstali między innymi My-Poznaniacy, którzy są stowarzyszeniem, ale jednocześnie w ostatnich wyborach samorządowych byli komitetem wyborczym. Obecnie spajacie szerokie grono członkiń i członków, oraz sympatyczek i sympatyków. W jaki sposób powstali My-Poznaniacy?

Stowarzyszenie pojawiło się, kiedy w Poznaniu odbywała się dyskusja na temat studium zagospodarowania przestrzennego w 2008 roku i wtedy ludzie z różnych dzielnic zaczęli się spotykać w sali sesyjnej Rady Miasta.

Czyli kto?

Ludzie związani z różnymi konfliktami przestrzennymi. Wtedy właśnie zrobiliśmy mapę konfliktów przestrzennych w Poznaniu. Jest ich ponad czterdzieści. Ludzie, którzy walczyli o różne swoje partykularne interesy zorientowali się, że nie są sami. Że na Strzeszynie, że na Grunwaldzie, na Ratajach czy gdzie indziej – wszyscy mamy bardzo podobne problemy. Ta dyskusja miała trwać dwa-trzy miesiące, ale rozpoczęła się szeroka debata, która w końcu trwała

praktycznie rok. I jednym z efektów tych spotkań było właśnie powstanie stowarzyszenia My-Poznaniacy.

Skąd taka nazwa?

Ta nazwa jest tutaj o tyle ważna, że to był taki pierwszy moment, kiedy mieszkańcy przeszli na skalę ogólnomiejską. I zorientowali się, że to my jesteśmy tymi poznaniakami, o których władza ciągle mówi. To był taki moment wyjścia poza swoje takie, jak to się mówi lokalny „fyrteł”, opłatki. Oraz zrozumienia, że problemów miejscowych nie można rozwiązać jedynie przez wyłącznie lokalne działania. I trzeba wejść o stopień wyżej. I od tamtej pory Stowarzyszenie jest bardzo silnie osadzone w problemach i kwestiach lokalnych. I lista się często zmienia. Niektóre przycichają i potem pojawiają się kolejne punkty zapalne.

W jaki sposób działają My-Poznaniacy?

Stowarzyszenie działa na dwóch płaszczyznach: z jednej strony ma struktury lokalne, terytorialne, z drugiej zaś tematyczne. Okazało się, że są różne wspólne tematy, jak: polityka przestrzenna, transport, polityka społeczna, itd. I też eksperci, którzy współpracują ze stowarzyszeniem działają właśnie bardziej na tej płaszczyźnie tematycznej, niż na lokalnej lub terytorialnej. I to jest właśnie specyfika Stowarzyszenia: to, że jesteśmy bardzo silnie umiejscowieni i odnosimy się konkretnych problemów, a jednocześnie działamy również na płaszczyźnie tematycznej nawiązując relacje między mieszkańcami i ekspertami. W ciągu tych trzech lat Stowarzyszenie stało się takim think-tankiem miejskim. Punktem wyjścia naszych działań jest walka o polepszenie jakości życia w mieście. W założeniu poglądy polityczne, są drugorzędne.

W jaki sposób wygląda to w praktyce?

Tym, co jest punktem wyjścia jest to, co Lech Mergler nazywa „narracją konkretną”. Narracja konkretna opiera się na skupieniu się na realnych problemach mieszkańców miasta i stoi w opozycji do większości polskiej polityki, która obraca się wokół polityki symbolicznej. O ile konflikty ideologiczne są w jakimś stopniu istotne, to ich waga została trochę wyolbrzymiona. Oprócz takich dyskusji jak kwestia aborcji (za czy przeciw prawem do wyboru), kara śmierci (za czy przeciw), małżeństwa par homoseksualnych (za czy przeciw), jest całe spektrum tematów i spraw, które nie są poruszane. Co więcej, osoby będące w kwestiach ideologicznych spolaryzowane mają na poziomie narracji konkretnej wspólne postulaty. A obszar wspólny jest często większy niż to, co ich dzieli. Mamy taką sytuację, że ludzie dzieleni na różne szufladki ideologiczne według konfliktów symbolicznych, a realne problemy są spychane na dalszy plan. I okazuje się, że w sytuacji gdy my, My-Poznaniacy, nie rozmawiamy o sprawach symbolicznych możliwa jest współpraca dużo szerszego grona mieszkańców. Osoby, szufladkowane jako prawica czy lewica, nie tylko mogą, ale również chcą kooperować. Ostatnim przykładem na to jest wypowiedź obecnego szefa PiSu w Poznaniu, Tadeusza Dziuby, żeby poparł petycję Rozbratu, o to, żeby mogło uzyskać nowy budynek. I mimo, że anarchistyczny ośrodek reprezentuje odmienną ideologię, to uważa Rozbrat za ważne miej-

sce dla kultury Poznania. To jest efekt współpracy właśnie m.in. między nim jako mieszkańca dzielnicy Sołacz z anarchistami w sprawie wspólnego protestu przeciwko zabudowie otuliny tamtejszego parku. Współpraca przy narracji konkretnej przynosi potem większą tolerancję nawet w dziedzinie polityki symbolicznej.

Tak, ale konflikty ideologiczne nie zawsze są oderwane od materialności miasta. Czy mieliście jakieś sytuacje, gdzie mimo prób nie mówienia o poglądach pojawiały się jednak konflikty?

To zależy jakie poglądy. Bo to nie jest tak, że my nie mamy wspólnych wartości. Mamy dużo wspólnych wartości, część z nich wyraża Karta Lipska. To są inne wartości niż te, o których mówią partie na szczeblu centralnym, takich jak: Katyń, Smoleńsk, lustracja, które są ważne, ale mają w niewielkim stopniu realne przełożenie na życie mieszkańców.

A jeśli weźmiemy konflikt dotyczący kwestii mieszkalnictwa, pomiędzy prawem do mieszkania i prawej prywatnego właściciela do zarządzania swoją własnością. No właśnie. Tutaj okazuje się, że w sytuacji, kiedy do My-Poznaniacy należą różne osoby, o różnym pochodzeniu społecznym: część mieszka w domkach jednorodzinnych w lepszych dzielnicach, część mieszka w blokach. Teoretycznie te osoby powinny mieć inne światopoglądy, gdyby myśleć schematycznie. Okazuje się, że do końca tak nie jest. Nikt w Stowarzyszeniu nie będzie bronił świętego prawa własności.

Lech Mergler mówi, że My-Poznaniacy są taką partią mieszczan. Mieszczan, to może za dużo powiedziane – bardziej mieszczuchów.

Czyli kogo?

Chodzi o wszystkie osoby mieszkające w mieście. Również te niezameldowane, jak ja. Lechu o tym mówi, w tym sensie, że są to wszyscy ci, którzy mają poczucie sprawczości i mówią: „Tak, ja jestem z tego miasta, więc mam prawo o nim współdecydować”. I są to naprawdę różne osoby: po studiach, ale również osoby bez wyższego wykształcenia. Ale na przykład środowisko anarchistyczne i Rozbrat ciągle krytykuje nas za to, że jesteśmy taką partią „nowej burżuazji”, co jeśli spojrzeć na naszych członków okaże się dużym uproszczeniem.

W Warszawie i innych miastach również sporo organizacji zajmujących się tematyką miejską twierdzi, że reprezentuje wszystkich mieszkańców. Ale jest to zwykle jednak bardziej pewien rodzaj postawy, niż realna sytuacja. Czy nie obawiacie się, że mimo deklaracji jesteście przede wszystkim partią czy stowarzyszeniem klasy średniej? i że reprezentujecie stosunkowo niewielką grupę osób? Takim testem dla nas były wybory samorządowe. I właściwie jednym z powodów, dla których poszliśmy do wyborów, była chęć wyjścia do szerszego grona. Jeszcze latem zeszłego roku nie wiedzieliśmy, ile osób nas popiera. A nie mamy pieniędzy na to, żeby zrobić badania i dowiedzieć się, jaka jest rozpoznawalność marki „My-Poznaniacy”. Byliśmy obecni w lokalnych mediach, ale

wiadomo, że większość osób nie śledzi lokalnych mediów, tylko ogólnopolskie. I te wybory były możliwością dyskusji z szerszym gronem poznaniaków. To się udało połowicznie – dało się wyjść do osób, na których hasła lepszego, bardzo europejskiego Poznania były atrakcyjne. Ale faktycznie, jeśli by spojrzeć na mapę wyborczą, to w tym dzielnicach „gorszych” (np. Wilda, Łazarz) o wiele trudniej było się nam przebić.

Czy nie obawiacie się, że będziecie atrakcyjni tylko dla klasy średniej?

To jest zagrożenie, z którego zdajemy sobie sprawę. My to widzimy, staramy się wyjść poza tę grupę. Na przykład angażując się w kampanię przeciwko kontenerom socjalnym, które chciał nam zafundować magistrat. Była ona próbą podniesienia rangi polityki społecznej w obszarze działalności Stowarzyszenia. I jak wiesz, ten problem wygenerował sporą solidarność międzyklasową. Mamy też nadzieje, że teraz organizacje lokatorskie, którym również wysłaliśmy zaproszenie na Kongres, przyjmą je i będzie okazja, żeby porozmawiać o polityce lokalowej i porozumieć się na tym poziomie. Bo faktycznie tak jest, że te ruchy miejskie działają w innej trochę przestrzeni niż organizacje lokatorskie. I bardzo byśmy chcieli, żeby się zacząć łączyć.

A jakie są skutki waszych działań?

Na pewno zmienił się język debaty publicznej. Jeśli prześledzisz ostatnią kampanię samorządową z Poznaniu, to zauważysz, że ona odbywała się wokół tematów, które przez ostatnie trzy lata artykułują My-Poznaniacy. Partie praktycznie przejęły większość postulatów. Okazało się, że ci sami politycy, którzy wcześniej byli za samochodami, za zabudową deweloperską i supermarketami, nagle stali się fanami rowerów, transportu publicznego, małych osiedlowych rynekczków i polityki kulturalnej czy bardziej sprawiedliwej polityki społecznej. I to jest największy sukces działalności Stowarzyszenia.

A co sądzisz w tym kontekście o planach zorganizowania przez prezydenta Poznania, Ryszarda Grobelnego, sondażu deliberatywnego na temat cięć budżetowych?

Jak mówi Neil Smith, neoliberalizm jest „dominujący, ale martwy” – tzn. trzyma się siłą inercji, ale nie generuje już żadnych nowych pomysłów. Dlatego z taką radością politycy kopiowali w trakcie wyborów postulaty My-Poznaniacy. Do tego myśleli, że dzięki temu nawiążą również lepszy kontakt ze społeczeństwem, które jakiś czas temu politykom uciekło. Mam wrażenie że mamy w tej chwili dwie niezależne rzeczywistości w Polsce: tę „medialną”, z konferencji prasowych i sporów w Sejmie, oraz tę faktyczną, dla której kolejny spór między Jarosławem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem jest mało interesujący. Politycy też to czują i dlatego starają się przynajmniej sprawić wrażenie, że chcą ten kontakt między władzą a obywatelami odbudować. Stąd wielu z nich odnajduje w takiej sytuacji bycia „za a nawet przeciw”: za „medialnie”, a przeciw „realnie”, gdyż często za słowami nie idą czyny. Gdyby prezydent mówił o budżecie obywatelskim, to co innego. A mówi tylko o badaniu socjologicznym, które nie wiadomo ile będzie warte.

Obecnie polskie miasta są mocno zadłużone, zwłaszcza Poznań i Wrocław. Czekają nas zmierzenie się ze skutkami kryzysu ekonomicznego, który wbrew początkowym optymistycznym prognozom nie ominie Polski. Czy uważasz, że to szansa dla ruchów miejskich? Na skupienie się nie na sporach ideologicznych, ale właśnie na konkretnej narracji?

Najbliższa przyszłość ruchów miejskich, w kontekście kryzysu, jest jednym z ciekawszych tematów. Jeśli spojrzeć na przemiany przestrzeni miejskiej, na przykład przez pryzmat ilości inwestycji w mieszkalnictwo, to mamy ten okres mniej więcej dwudziestoletni między 1956 i 1979, ogromnej ekspansji w tkankę miejską. Potem przychodzi okres dwudziestoletniego zastoju i znowu kolejny wzrost pojawił się po 2004. I zauważ, że masz ogromną ingerencję w tkankę miejską w latach 70., po którym pojawia się niezwykle silny ruch społeczny w Polsce, Solidarność. Potem, jest druga fala ingerencji w tkankę miasta (np. zabudowa terenów zielonych, parków: znak rozpoznawalny wielu deweloperów), co jednocześnie narusza relacje społeczne, które w ogóle są z przestrzenią związane i masz oddolną mobilizację w różnych miastach. Mamy do czynienia w pewnym opóźnieniu, jeżeli o moment o inwestycji i zmianę organizacji miasta i udział obywateli we współuczestniczeniu w tym. Przez całą dekadę lat 80. polska gospodarka była zakładnikiem inwestycji, często nieracjonalnych, z okresu gierkowskiego. Obecnie mamy do czynienia z sytuacją, że największe inwestycje już miały miejsce, pieniądze zostały wydane, decyzje zostały już w większości podjęte. I my się budzimy trochę za późno. Natomiast to pewnie jest taka strukturalna cecha relacji między władzą a obywatelami. Ale z drugiej strony – lepiej późno niż wcale.

Z czego to wynika? Z poczucia, że było bardzo dużo możliwości, ale władza dokonała złych wyborów, podjęła decyzje inne niż sobie życzyliśmy, więc mamy poczucie bycia oszukanymi. A środki finansowe już się skończyły.

Według mnie nie mamy jeszcze świadomości, że żyjemy w czasach kryzysu. Ludzie są mentalnie w początkach XXI wieku, kiedy wciąż jest bardzo dużo możliwości inwestycyjnych, Unia Europejska daje dużo pieniędzy i cały czas możemy bardzo dużo zrobić. Więc ludzie cały czas myślą, że mają sprawczość, że mogą korzystać ze napływu środków, który de facto zaraz się skończy. Nawet jeśli wiemy, że realnie ten czas się skończył i za 2-3 lata będzie moment sporego kryzysu. Czekają nas nowe lata 80. Więc to poruszenie społeczne, podobnie jak w 1980, bardziej wynika z takiej chęci współuczestniczenia, a nie poczucia bycia oszukanym. To dopiero przyjdzie za rok, za dwa czy trzy. Wtedy okaże się, że pomysły są, ale już nie będzie środków.

I co się wtedy stanie? Sądysz, że można liczyć na jakąś miejską rewolucję?

Zobaczymy. Natomiast będzie to wymagało całkowitego przewartościowania myślenia o polityce miejskiej. Dlatego, że w sytuacji, kiedy nie ma tak dużo środków należy zacząć inaczej myśleć. Podejmować inne wybory. Dobrym przykładem, jak dużo można zrobić dysponując ograniczonymi środkami są miasta Ameryki Południowej, np. Bogota, gdzie burmistrz Antanas Mockus był w stanie de facto radykalnie zmienić to miasto bez żadnych inwestycji. Więc nadchodzi inny okres i musimy się mentalnie na niego przygotować, również

do tego, że chęć władzy do dzielenia się odpowiedzialnością za miasto będzie większa. Tylko, że nie będziemy dzielić zasobów, ale będziemy dzielić biedę i współdecydować o ciecicach. Ale w drugiej strony, nasza partycypacja może być inna. Możemy cały czas mieć wpływ na tkankę miejską, ale to będzie wymagało trochę innych środków. To już nie będzie tak, że będziemy mogli radykalnie przebudować centrum miasta. Trzeba będzie nauczyć się inaczej wykorzystywać istniejące zasoby.

Jak sądzisz, jakie działania będą podejmowane? Będą powstawać kooperatywy? Przedszkola sąsiedzkie?

Na przykład. Ale może też zmienić się polityka mieszkaniowa. Nie wiemy obecnie, ile jest pustostanów w polskich miastach, ale w takich pogłoskach można wnioskować, że jest ich bardzo dużo. I nie wiemy, co się będzie z nimi działo. Ale można sobie wyobrazić, że święte prawo własności już się nie sprawdzi w tych nowych warunkach, i że część pustostanów będzie zajmowana. A mieszkanie o niewyjaśnionym statusie własności podnajmowane na krótki okres czasu. Albo partnerstwo prywatno-publiczne może zacząć wyglądać inaczej: stroną prywatną nie będzie już biznes, ale mieszkańcy zrzeszeni w kooperatywy czy spółdzielnie. I może to być okres renesansu spółdzielni mieszkaniowych, ale nie takich nastawionych na zysk, ale na budowanie tanich mieszkań. Oraz powrót do idei tak zwanego „czynu społecznego”, gdzie ludzie nie będą wkładać pieniędzy, ale będą wkładać własną pracę, w jakieś tam wspólne projekty. Tutaj możliwości jest bardzo dużo. Więc paradoksalnie może się okazać, że w obecnej sytuacji dla miasta, im gorzej – tym lepiej.

KONGRES RUCHÓW MIEJSKICH, 17-19.06.2011, POZNAŃ

KACPER POBŁOCKI

(1980) – socjolog i antropolog, pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kultury Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Studiował w Wielkiej Brytanii, Holandii oraz USA, absolwent Central European University w Budapeszcie oraz Center for Place, Culture and Politics Uniwersytetu Miejskiego (CUNY) w Nowym Jorku. Obecnie przygotowuje książkę pt. *Kosmopolityzm: instrukcja obsługi*.

JOANNA ERBEL

(1984) – socjolożka, fotografka, aktywistka. Kuratorka Nowych Sytuacji 2011. Píše doktorant w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego na temat roli aktorów nie-ludzkich w przemianie przestrzeni miejskich. Członkini „Krytyki Politycznej”, współzałożycielka Stowarzyszenia Duopolis. Pracuje jako socjolożka w procesach konsultacji społecznych używając metod z pola sztuki. Co czwartek publikuje felietony o przestrzeni miejskiej na witrynie www.krytykapolityczna.pl. Po mieście porusza się głównie rowerem. Mieszka w Warszawie i Poznaniu.